GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

„Przekonałem się, że administracja, bezpośrednio na lud wpływająca, znajduje się w ręku nieudolnych i nieposiadających wcale żadnego szacunku organów *), które, mając na myśli tylko własne chwilowe korzyści, interesów kraju ani pojąć nie są w stanie, ani popierać nie mogą. Policja złożona jest w ręce, na które wcale spuścić się nie można, o sądownictwie po za miastami wprost nie ma mowy. Chociaż starostów w przecięciu cenić należy dla ich zdolności i dobrej woli, to jednak, jak spostrzegam, w urzędach cyrkularnych przeważa opinia, że urzędy te mają właściwie tylko akta załatwiać, a kraj sam nie wiele, albo wcale ich nie obchodzi. Nigdzie nie spotkałem się ze świadomością wyższego celu, lub obowiązku pracowania dla kraju, głównie z tego powodu, że urzędy cyrkularne, ze względu na absolutną niedostateczność i zły ustrój najniższych organów, muszą je zawsze zastępować, a i temu zadaniu sprostać nie mogą, z powodu nawału spraw. Brak im tedy czasu do zajęcia się właściwemi pięknemi czynnościami zawodowemi. Ztąd pochodzi, że, mimo nieskończonej pisaniny i mnożenia się aktów, na niezmierne przewlekanie wystawione są wszystkie, cokolwiek trudniejsze sprawy, które właśnie mają dla kraju wielkie znaczenie. Nigdzie nie widać jednolitości w działaniu, a każdy urząd cyrkularny pozostaje w urojeniu, że wcale nie potrzebuje troszczyć się o to, co robią w sąsiednim urzędzie, co się dzieje w sąsiednim cyrkule. Każdy urzędnik mniema, że jest, jeżeli nie najrozumniejszym, to tak rozumnym, jak każdy inny, że żaden nie potrzebuje od nikogo rad przyjmować. Wiele, szczególnie młodszych urzędników, trwa — nad czem szczególnie ubolewać należy — w tem fatalnem urojeniu, że nie można lepiej objawić swojego patrjotyzmu, jak tylko w ten sposób, że się wymyśla na kraj i jego ludność nawet na miejscach publicznych, że się manifestuje głośno pogardę, potępiając cały kraj i cały naród, że się pod osłoną stanowiska urzędniczego w sposób, w najwyższym stopniu niewłaściwy, obraża i drażni mieszkańców zniewagą, lub pogardą, zapominając o tem, iż mieszkaniec Galicji jest takim samym poddanym austrjackim, jak mieszkaniec każdej innej prowincji, a urzędnicy nie na to wysłani zostali do tego kraju i nie na to płace pobierają, aby kraj zohydzali i do rządu, którego są organami nienawiść wzbudzali, lecz na to, aby współdziałali dla podniesienia dobra kraju.

„Lud wiejski znalazłem w stanie wzburzenia, gdyż podżegacze, a nawet źli, lub nieroztropni urzędnicy wzbudzili nadzieje, które się teraz nie ziszczają. Lud wiejski jest zniechęcony i ponuro nastrojony wskutek panujących epidemii, a w niektórych okolicach kraju wskutek grożącego głodu, z czego powstaje uprzedzenie przeciw rządowi i właścicielom dóbr.

„U właścicieli dóbr, u szlachty w ogóle, spotkałem się wszędzie z przekonaniem, że rząd nieprzyjaźnie z nią postępuje i dąży do jej zagłady. Na dowód przytaczają wszędzie regulację, to jest zniżenie pańszczyzny bez oparcia reformy na słusznej podstawie i bez wynagrodzenia dla pono-

*) Chodzi tutaj o mandatarjaty, których cała powaga jak to poprzednio nadmieniliśmy, podkopana została do głębi w roku 1846 przez biurokrację cyrkularną. (Przyp. autora).

szących stratę, nałożenie na dominia całego ciężaru utrzymywania żandarmerji, surowe ściąganie funduszów zapomogowych, rozdawanych pomiędzy chłopów pełną garścią, częste bez potrzeby i bez dostatecznego powodu, surowe prowadzenie procesów o zdradę stanu, wydawanie surowych wyroków na winnych, którzy niejednokrotnie nieświadomie i mimo woli porwani zostali w wir wypadków, kiedy tymczasem rząd niechętnie i z widocznem wahaniem się występuje przeciw chłopom, którzy dopuścili się oburzających w najwyższym stopniu okrucieństw w czasie, gdy, niestety, anarchia zyskała przewagę, kiedy dalej chłopów tych, jeżeli tylko jest jaki pretekst, uwalnia się od postępowania kryminalnego, kiedy wreszcie jeszcze żaden chłop nie został skazany, ani nawet zakwalifikowany do śledztwa kryminalnego. Nawet ci ze szlachty, którzy nie są przeciwni rządowi i ostatnie usiłowania powstańcze głośno potępiają, skarżą się otwarcie z powodu nierównego wymiaru sprawiedliwości. Szlachcic bowiem, jeżeli tylko w najmniejszym stopniu stał się podejrzanym, podpada śledztwu i uwięzieniu, a często, odzyskawszy wreszcie wolność, zostaje ponownie wtrącony do więzienia, ponownie poddany śledztwu i, jeżeli nieskondemnowany, to przynajmniej internowany, lub postawiony pod dozór policyjny; tymczasem morderca, rozbójnik i podpalacz ze stanu włościańskiego siedzi w domu wolny i nienagabywany, a rząd nie pociąga go nawet do odpowiedzialności, tem mniej karze ludzi, którzy, jakkolwiek zostają w jego służbie, podniecali chłopów do ekscesów, lub nawet sami w nich udział brali.

„Temi skargami powitano mię zaraz po przybyciu do kraju, a powtarzano je nie bez goryczy, gdyż nieszczęsny los zrządził, że, przez nikogo o tem nieuprzedzony, przybyłem do kraju właśnie w chwili, gdy wyroki śmierci, wydane w ostatnich czasach za zdradę stanu, miały być wykonane. Musiałem zboczyć z drogi, aby nie stanąć we Lwowie właśnie w dniu tracenia, i nie rozpoczynać swojej działalności od przygotowań do tego aktu. Cała szlachta upatrywała w tym nieszczęśliwym zbiegu rozmyślne działanie rządu, aby odrazu odjąć krajowi nadzieję zwrotu ku łagodności, i pokazać mu, że teraz nie sprawiedliwość z wyrozumiałością, lecz tylko sroga surowość ma zapanować, że chodzi nie o uspokojenie, lecz o gwałtowny ucisk kraju.

„Nie mogę też zataić, że zasmucił mię ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności nietylko dlatego, iż łatwo mógł być ominięty, jeżeliby tylko w Wiedniu w interesie kraju zechciano naprzód zwrócić na to moją uwagę, lecz więcej z tego powodu, iż zbieg ten postawił mię w sytuacji, całkiem odmiennej od położenia, jakie spodziewałem się zastać. Byłem niemal pewny, że zbliżą się do mnie z zaufaniem ludzie spokojni, z klasy posiadającej, którzy na przewrocie tylko stracić mogli. Jednakże, wskutek powyższego zdarzenia nieszczęsnego, musiałem zrzec się tej nadziei. Wysoki stopień wzburzenia, wszędzie się objawiającego, i nieufność, bez ogródek wypowiadana, nie mogły mnie zadziwić, skoro nowy gubernator wysłany został do kraju, w jednym dniu z katem, a niewidziany w ubiegłej połowie stulecia akt tracenia politycznych przestępców stanowił wstęp do działalności nowego gubernatora.

„Spełniając swój obowiązek, rząd powinien teraz położyć kres temu niezadowoleniu, wydobyć kraj z jego opłakanego położenia, torując w nim taki postęp materjalny i moralny, jakim się cieszą inne prowincje monarchii austrjackiej. Zwrot ten musi się dokonać bez wahania, gdyż obecny stan kraju może być pożądany jedynie dla rewolucyjnej propagandy za granicą, która, posiadając tylko w niezadowoleniu tutejszej ludności punkt oparcia, stara się je podtrzymywać i potęgować; a niezadowolonych pobudzić do nowych prób rewolucyjnych.

„Kraj ten, który mógłby się stać najbardziej kwitnącą prowincją Austrji, czeka bezgraniczna nędza w razie, jeżeliby rząd odraczał konieczne ulepszenia. Nikt bowiem nie jest w stanie przewidzieć, dokąd posunąć się może ludność namiętnie wzburzona, jeżeli się jej odejmie nadzieję poprawienia doli, jeżeli się odroczy do niepewnej dalekiej przyszłości to wszystko, czego kraj oczekuje i czego, jako część wielkiej monarchii austrjackiej, oczekiwać ma prawo. Obecnie kraj jest niejako zawieszony pomiędzy nadzieją a trwogą, zadanie rządu zaś polega na tem, aby trwogę rozproszył, a nadzieję urzeczywistnił.

„Usunięcie niezadowolenia, wypływającego z błędnej i niedostatecznej administracji politycznej i sądowniczej, leży poza sferą mojej działalności. Co w mojej mocy było, to już uczyniłem, zalecając dobitnie wszystkim urzędnikom, bez różnicy rangi, przyzwoite i godziwe zachowywanie się w obec ludności, i zaznaczając stanowczo, że płazem nie puszczę żadnych nadużyć, popełnionych słowem, lub czynem. Dalej, nieustannie dążę do tego, aby w postępowaniu urzędów cyrkularnych wprowadzona została jednolitość i zgodność. (C. d. n.)

MAROKKO.

Z KRAJU DALEKIEGO ZACHODU

(EL MOGHRIB-EL-AKSA).

(Ciąg dalszy).

Bilans handlowy Marokka wynosi przeciętnie 43 miljony franków wwozu i 31 miljonów franków wywozu rocznie. Pierwsze miejsce w handlu marokańskim zajmuje Anglja (19,150 tys. franków), potem idzie Francja (11,500 tys. franków) i Niemcy (4,850 tys. franków). Dodać należy, że towary niemieckie konkurują już sku-

tecznie z towarami angielskiemi i francuzkiemi, i nie ulega kwestji, że z czasem Niemcy zajmą w tym kraju bardzo poważne stanowisko handlowe.

Sułtan, rząd i wojsko.

Panujący dziś w Marokko sułtan Abdul-Azis (oby żył wiecznie!) posiada niezliczoną moc tytułów, zawdzięczających swe powstanie fantazji nadwornych pisarzy. Jako potomek Mahometa ma prawo do tytułów kalifa i imama, nosi też tytuł cesarza (sułtana) i władcy prawowiernych (*Emir el Mumenim*). Pozatem nazywają go jeszcze „Szlachetnością“ (*Hadrat-es-Szeryf*), „Wyniesionym przez Boga“ (*El-Abi b'Illah*) lub „Wysokim krużgankiem“ (*Bab-el-Ali*), najczęściej zaś poprostu „Panem“ (*Mulej* albo *Maulana*). Sułtan jest nietylko nieograniczonym monarchą, lecz i głową kościoła, gdyż jedyną formą rządów, na jaką się zdobył świat muzułmański, jest teokracja. Wykonawcami jego rozkazów są ministrowie, wśród których nie brak tytułów bardzo oryginalnych, jak n. p.: „trzymający straż przy namiocie“ (*Mul-el-frasz*) lub „przygotowujący herbatę dla sułtana jegomości“ (*Mul-atai*). Istnieje też w Marokko coś w rodzaju rady stanu, złożonej z ulemów, czyli uczonych, ale daleko większy wpływ na sprawy państwowe wywiera harem sułtański, złożony z kilkudziesięciu żon, wśród których zdarzają się nawet angielki lub francuzki.

Głównem zajęciem sułtana jest ciągłe uśmierzanie pokoleń, które nie chcą uznawać jego władzy lub odmawiają mu płacenia podatków; znajduje się on przeto przez cały rok prawie w obozie. Uwierzytelnieni przy jego osobie posłowie europejscy mieszkają w Tangierze, do którego sułtan nigdy nie przyjeżdża, bojąc się splugawić swe jasne oczy widokiem tego nawpół cudzoziemskiego miasta. W Tangierze też mieszka marokański sekretarz do spraw zagranicznych, którym był podczas mego pobytu w Marokko przebiegły Sidi-el-Torres: sekretarz ten ma jednak bardzo ograniczone pełnomocnictwa i każdą ważniejszą sprawę musi przedstawiać sułtanowi do osobistej decyzji. A że w Marokko nie ma ani kolei żelaznych, ani poczty, więc można sobie przedstawić, ile czasu kosztuje załatwienie każdej sprawy, tembardziej, że dyplomacja Wielkiego Makhzenu polega, jak każda zresztą dyplomacja wschodnia, na przeciąganiu każdej kwestji w nieskończoność.

Przed kilku laty postanowił sułtan utworzyć w Tangierze specjalny departament do spraw zagranicznych, złożony z sześciu dygnitarzy, z tem oczywistem wyliczeniem, że z sześcioma trudniej będzie posłom europejskim dogadać się jak z jednym, ale dotychczas jeszcze nie wiadomo, jakie są właściwe atrybucje tego maurytańskiego Tsung-li-Jamenu, który zresztą od dłuższego czasu nie daje o sobie żadnego znaku życia.

Gubernatorami prowincyj są baszowie, a każdemu z nich chodzi jedynie o to, aby w jaknajkrótszym czasie zebrać z poddanych jaknajwięcej pieniędzy, to też przekupstwo i zdzierstwo jest w Marokko na porządku dziennym. Podczas pobytu mego w Saffi, na rozkaz miejscowego baszy, Kaida El-Khalkali, porwano dwunastoletniego chłopca naczelnika plemienia *ben-Muizat* i osadzono w więzieniu miejskiem w nadziei otrzymania bogatego okupu, a gdy ojciec zwłóczył z zapłatą pieniędzy, basza uciekł się do oryginalnego sposobu, każąc codziennie niemiłosiernie ćwiczyć biednego malca batami. Wreszcie ojciec syna wykupił, ale pokolenie chwyciło za broń, powstanie ogarnęło sąsiednie wioski i do uśmierzenia buntu trzeba było wzywać wojska sułtańskie.

Wypadki takie są w Marokko na porządku dziennym. Specjalnie zaś do wymuszania pieniędzy służy t. zw. „żelazna dżillaba“, przyrząd tortury, który w każdem więzieniu marokańskiem (prócz Tangieru), widzieć można. Jest to narzędzie, składające się z dwóch, najeżonych gwoździami desek, pomiędzy któremi ściskają przestępcę, dopóki się nie przyzna, gdzie schował pieniądze, na które ma apetyt basza.

Sułtan jegomość ma pod swemi rozkazami około 12 tyś. wojska regularnego, zorganizowanego i wyćwiczonego mniej więcej na sposób europejski; dowodzi niem szkot Mac-Lean, dawny oficer angielski. Oprócz tego istnieją w Fez i Rabbat specjalne komisje wojskowe, złożone z francuzkich instruktorów. Gwardję przyboczną stanowią *meczuari* w czerwonych kaftanach, uzbrojeni w karabiny systemu Martini, i *abid-bukhari*, potomkowie plemion murzyńskich, zorganizowanych wojskowo przez Izmaela Wielkiego. W walkach ze zbuntowanemi pokoleniami beduinów wojsko to, szczególniej artylerja, może oddać pewne usługi, ale w zetknięciu się z armią europejską nie wytrzyma porównania. Da się to szczególniej powiedzieć o jeździe arabskiej, której szyk bojowy polega na ukośnej szarży ławą, to jest w jednym szeregu, salwie z karabinów i zwróceniu koni w lewo w tył w rozsypce, aby się zebrać o kilkaset kroków dalej dla nowego ataku. Wystarczy więc kilka strzałów armatnich szrapnelami, aby tę całą hordę rozpędzić na cztery wiatry. Hodowla koni jest dziś w Marokko w zupełnym upadku, a z całą pewnością twierdzić można, że równie okrutnego obchodzenia się z końmi i zwierzętami, jak w kraju dalekiego Zachodu, nigdzie nie da się spotkać.

Zresztą ci żołnierze — to pospolici kaci. Po uśmierzeniu rozruchów, które w Marokko wybuchają ustawicznie, władze zabierają się do karania powstańców, a wyroki wykonywują żołnierze. Te egzekucje masowe, to wypalanie oczu gorącem żelazem, przecinanie muskułów na dłoni, zasypywanie ran kamforą i solą, zawiązywanie rąk w kułak taśmami ze skóry baraniej w celu

*

ich obezwładnienia na zawsze, nie przynosi chyba zaszczytu wykonawcom, nawet uwzględniając różnicę kultury i cywilizacji. Wyroki śmierci wykonywane są rzadko, i jeżeli czasami na murach miejskich widać posolone głowy przestępców, zatknięte na dzidach, to zazwyczaj są to głowy więźniów, zmarłych w drodze, przyniesione przez żołnierzy na dowód, że w całej partji nie było wypadku ucieczki.

Fanatyzm religijny.

Dzisiejszy wódz powstańców, Bu-Hamara, jest jednocześnie głową t. zw. senussitów, fanatycznej sekty muzułmańskiej, szeroko rozgałęzionej na północy całej Afryki, a więc w Egipcie, Trypoli, Tunisie, Algerji i Marokko. Jednocześnie podaje się „ojciec oślicy“ za poprzednika Mahdiego, proroka, który ma rozwinąć sztandar wojny świętej przeciwko niewiernym. To wszystko zdaje się przemawiać za tem, że ruch powstańczy może ogarnąć szerokie warstwy ludności muzułmańskiej na całem północnem wybrzeżu Afryki.

(Dok. nast.)



Pustelnia w Podkamieniu obok Szczyrzyca.

Dwie mile za Dobczycami pomiędzy górami Cietniem a Grodziskiem, z której Tarłowie roznosili echo zwiastujące wyprawę na Kijów, wznosi się dość znaczny pagórek lesisty, z ogromną skałą — to pustelnia w Podkamieniu.

Według ludowego podania, olbrzymią tę skałę niósł djabeł w celu zawalenia Klasztoru OO. Cystersów w Szczyrzycu, lecz o północy kur zapiał i djabeł musiał rzucić skałę w miejsce gdzie obecnie wznosi się.

Dawnemi czasy szła tędy droga komunikacyjna, która łączyła Nowy Sącz z Krakowem. Drogą tą przechodził pewnego dnia Andrzej Grzybkowski pochodzący z okolic Grybowa, udając się do Krakowa, jako rekrut powołany do wojska. Służba wojskowa podówczas była bardzo ciężką; więc Grzybkowski uczynił przy tej skale ślub, że jeżeli szczęśliwie po wysłużeniu przy wojsku do domu powróci, wtedy przy tej skale osiędzie.

Rzeczywiście około roku 1810 po odbyciu służby wojskowej przybył na to miejsce, zbudował maleńką kapliczkę tuż obok skały, a sam w szczelinie zamieszkał.

Po kilkunastu latach pobytu zawiadomiono go, że odziedziczył znaczniejszy spadek. Grzybkowski udał się do swego rodzinnego miejsca celem uregulowania spadku, lecz z przypadającej na niego części prawie nie korzystał, porozdzielał bowiem wszystko pomiędzy swoich krewnych tak, że dla siebie na pustelnię, zaledwie parę złotych przyniósł.

Tymczasem w okolicznych wsiach rozeszła się wieść, że pustelnik odziedziczył wielki majątek. Pewnego poranku a byłot o dnia 15 października 1829 r. znaleziono go pod skałą zamordowanego, w 46 roku życia.

Długi czas nie można było odkryć zbrodniarza, dopiero po roku, w karczmie przyległej w Poznachowicach górnych, nie daleko od pustelni, dzieci podczas zabawy wywlokły rozmaite rzeczy, po których poznano, że należały do pustelnika.

Po przeprowadzeniu śledztwa przyaresztowano dwóch karczmarzy i ich wspólnika, razem odstawiono ich do Wiśnicza, gdzie w więzieniu oczekiwać mieli wyroku, lecz przed ogłoszeniem wyroku wszyscy trzej pomarli w więzieniu zagadkową śmiercią.

Po tym fakcie przez długie lata pustelnia została opuszczoną. Dopiero w roku 1848 zgłosił się na pustelnika Urban Jan Kanty Popiel, człowiek wykształcony, żonaty, pochodził ze Starego Sącza, tercjarz III zakonu św. Franciszka. Wtedy to państwo Jozafatowie Kałuscy, właściciele dóbr Zegartowice, na których terytorjum znajdowała się pustelnia, zbudowali skromny domek, który widzimy na rycinie, zaś OO. Cystersi ze Szczyrzyca wprowadzili tam pustelnika, poświęcając domek. Pustelnik ten umarł 8. marca 1862 r. w 86 roku życia.

Trzecim z rzędu był Ludwik (Benedykt z chrztu) Pawlikowski, który przybył z Zawieczyna powiatu złoczowskiego. Był to człowiek inteligentny i bardzo miły starzec, tercjarz III. zakonu św. Franciszka, były właściciel dóbr, mąż Anny Korytyńskiej. Umarł licząc lat 74 dnia 7. lutego 1881 r. (Syn jego p. Eligiusz Pawlikowski do dziś dnia jako zarządca dóbr w Skrzydlnej przebywa).

Jakób Papież, czwarty pustelnik, dawny sługa klasztorny OO. Cystersów, bardzo krótko pustelnię zamieszkiwał, gdyż w chwili gdy tam osiadł, liczył już lat 80 zaś w 82 roku życia umarł nagle, dnia 9. stycznia 1883 r. Papież był rodem z Wilkowiska, był mężem Marjanny Płaneta.

Antoni (Gabrjel z chrztu) Rąp, piąty pustelnik, przybył ze Lwowa, przyjął habit III. Zakonu św. Franciszka. Był on zajęty w drukarni, gdzie wskutek nieszczęśliwego wypadku maszyna pogruchotała mu rękę. Lekarze orzekli, że ręka ta musi być amputowaną. Rąp poczynił śluby, że jeśli wyzdrowieje i obejdzie się bez amputacji ręki, osiędzie na pustelni w Podkamieniu. Umarł w 67 roku życia, po sześciu latach pobytu na pustelni, dnia 12. kwietnia 1892 roku.

Za jego pobytu wystawioną została przy pustelni w roku 1886 kaplica w stylu gotyckim, którą OO. Cystersi ze Szczyrzyca przy pomocy braciszka Jędrzeja Jarzębińskiego (Cystersa) i składek dobrowolnych wybudowali.

Szóstym pustelnikiem był Roch Jankiewicz, braciszek zakonny OO. Reformatów, którego przełożeni po pięciu latach dla ślubów uroczystych ztąd odwołali i mieszka on obecnie w jednym z ich klasztorów we wschodniej Galicji.

Teraźniejszy pustelnik Paweł (ze chrztu Józef) Półtorak rodem z Koźmic wielkich, parafii wielickiej liczy lat 42. Na tę pustelnię przyby w czerwcu 1897 roku i przyjął habit Zakonu III św. Franciszka.



Miejscowość w której pustelnia stoi, należy obecnie do dwóch gospodarzy: Węglarza i Kadzika.

W kaplicy, która należy do pustelni, odprawiały się dość często nabożeństwa, obecnie przywilej odprawiania mszy św. przez ś. p. Ignacego Łobosa biskupa Tarnowskiego, ze śmiercią jego wygasł a o nowy nie postarano się na razie.

Do pustelni tej przyjeżdżają celem zwiedzenia takowej ludzie z rozmaitych stron. Miejsce jest urocze pomiędzy górami, nad górską rzeką Stradomką.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

— Powinszuj mi pan! — zawołał na wstępie. Jest to dla mnie dzień pamiętny; zapiszę go sobie czerwonym ołówkiem, przyniósł mi bowiem zadowolenie podwójne: naprzód dał mi sposobność wykazania im, że nie można deptać prawa bezkarnie, odkryłem dokument, stwierdzający, że przez park starego Middletona, o sto yardów od dworu, powinna iść droga publiczna. Nauczę tych magnatów, że nie wolno im pozbawiać zwykłych śmiertelników tego, co im się słusznie należy. Nie miałem tak miłego dnia od chwili, gdym pozwał sir Johna Morland o bezprawne polowanie w jego własnym lesie. Ta sprawa kosztowała mnie dwieście funtów, ale ją wygrałem, bo na podstawie starych akt dowiodłem, iż ta część lasu należy do włościan. Muszę pana objaśnić, że nie byłem wcale interesowany. Działam zawsze dla dobra publicznego. Ot, i druga sprawa nie obchodzi mnie osobiście, a jednak wykryłem rzecz bardzo ważną.

Przed chwilą myślałem: pod jakimby pozorem wymknąć się od dziwaka; teraz zaczynał mnie zaciekawiać, ale znając jego przekorną naturę, wiedziałem, że nic mnie nie powie, jeśli się zdradzę z ciekawością.

— Chodzi zapewne o jaki nowy proces? — rzekłem obojętnie.

— Ho, ho! mój chłopcze, źle się domyślasz. Słyszałeś zapewne o zbiegu, ukrywającym się na bagnie?

Drgnąłem mimowoli.

— Czyżbyś pan znał jego kryjówkę? — zagadnąłem.

— Nie mógłbym jej oznaczyć dokładnie, ale moje wskazówki oddałyby usługę policji. Czy nie przychodziło panu na myśl, iż jedynym sposobem schwytania tego łotra, jest wyśledzić, skąd i gdzie otrzymuje żywność; po takim tropie najłatwiej przyjść do jego kryjówki.

Dowodzenie było bardzo logiczne.

— Bezwątpienia — odparłem — ale skąd pan wie, że on kryje się na bagnie?

— Wiem, bo na własne oczy widziałem tego, który mu nosi prowianty.

Zaniepokoiłem się o Barrymora. Niebezpiecznie było dostać się na pastwę przekornego starca. Jego następne słowa zdjęły mi kamień z serca.

— Zdziwi się pan, słysząc, że dostarcza mu żywności dziecko — rzekł. — Widuję małego chłopaka przez mój teleskop, umieszczony na dachu. Idzie zawsze jedną i tą samą ścieżką, o jednej i tej samej godzinie. A gdzieżby chodził, i po co, jeśli nie dla prowiantowania więźnia?

Dzięki Bogu! Frankland był na fałszywym tropie. Udałem, że ta wiadomość jest mi zupełnie obojętną.

Już Barrymore mówił mi, że nieznajomego obsługuje chłopak. A więc Frankland odkrył ślad postaci tajemniczej, nie zaś Seldona. Jeżeli potrafię wydobyć z niego więcej faktów, oszczędzi mi to czasu i trudu. Niedowiarstwo mogło jedynie skłonić Franklanda do udzielenia mi bliższych informacyj.

Wiedząc, że nie przywiązuję wagi do jego słów, zaperzył się, poczerwieniał jeszcze bardziej i spojrzał na mnie złośliwie.

— Więc pan wątpi? — zawołał. — Spojrzyj pan przed siebie. Widzisz skałę, zwaną Black-Tor? Sterczy na nagim pagórku, wśród dzikiej, kamienistej płaszczyzny. Pan sądzi, że ten chłopak jest pastuchem? Pozwól sobie powiedzieć, że to przypuszczenie jest niedorzeczne. Nie ma tam ani źdźbła trawy, więc cóżby skubała trzoda, a bez trzody nie ma pastucha.

Odpowiedziałem pokornie, że uznaję nietrafność mojej hypotezy. Rozbroiło go to, skłaniając do dalszych wynurzeń.

— Wierzaj mi pan, że zanim wyrażę mój sąd, staram się go oprzeć na pewnych danych. Widuję chłopaka z zawiniątkiem codziennie, a czasem dwa razy na dzień. Poczekaj pan chwilkę. Jeżeli mnie oczy nie mylą, coś porusza się na górze...

Od danego miejsca dzieliło nas kilka mil, lecz mogłem wyraźnie dojrzeć czarny punkcik.

— Chodź pan, chodź — zawołał Frankland, biegnąc na górę. — Zobaczysz pan na własne oczy i przekonasz się, że na wiatr nie mówię.

Na dachu ustawiony był olbrzymi teleskop. Frankland spojrzał przez niego i krzyknął z radości:

— Spiesz się, doktorze, bo przejdzie na drugą stronę góry!...

Istotnie ujrzałem malca, niosącego zawiniątko na plecach. Wspinał się pod górę powoli. Gdy doszedł do szczytu, ujrzałem wyraźnie jego drobną postać na tle nieba. Rozejrzał się dokoła, jak gdyby obawiał się pogoni, następnie spuścił się drugim stokiem.

— No i cóż? Mam rację? — zagadnął Frankland.

— Tak, widziałem chłopca na własne oczy; z jego zachowania się można poznać, że spełnia jakąś misję potajemną.

— A jaką, łatwo się domyśleć... Ale nie pisnę słówka przed policją i pana proszę o sekret. Ani słowa, pamiętaj!...

— Jeżeli panu na tem zależy...

— Tak, chcę im zrobić na złość... Postąpili ze mną nikczemnie w sprawie przeciw włościanom. Nie myślę dopomagać *konstablom*. Pan już odchodzi?... Nie puszczę! Musimy „oblać“ to odkrycie.

Nie dałam się jednak uprosić i potrafiłem go odwieść od zamiaru towarzyszenia mi do Baskerville-Hall. Trzymałem się gościńca, dopóki mógł mnie widzieć, następnie skręciłem w bok i dążyłem w stronę góry, po której przeszedł chłopak.

Wszystko mi sprzyjało; postanawiałem skorzystać z okoliczności i dziś jeszcze tę tajemnicę wykryć.

Słońce już było na zachodzie, gdym doszedł do szczytu góry. Cała równina była pogrążona w ciszy grobowej. Nie było nigdzie chłopca. Rozglądając się dokoła wśród rozrzuconych kamieni, dojrzałem trzy, tak ułożone, że mogły służyć za kryjówkę. Serce zabiło we mnie żywiej. Tu musiał przebywać nieznajomy.

Zbliżywszy się, spostrzegłem dwa kamienie, stojące prostopadle; jeden leżał na nich poziomo. Wszedłem do tej skalistej nory, a przyznaję, że z pewną obawą. Miejsce było puste, ale były w niem ślady, że zamieszkiwała je ludzka istota. Na płaskim, wygrążonym kamieniu, który zapewne służył przedhistorycznemu człowiekowi za łoże, była kołdra, zawinięta w pled, na ziemi pozostał jeszcze popiół od zagaszonego ogniska, obok były rondelki i blaszana konewka z wodą, w drugim rogu dostrzegłem butelkę z *ginem*. Pośrodku był płaski kamień, w rodzaju stołu; leżało na nim zawiniątko — to samo zapewne, które przez teleskop widziałem na plecach chłopaka. Rozwiązałem je — był tam bochenek chleba, wędzony ozór i dwa słoiki owocowych konserwów. Pod prowiantami leżał kawałek papieru. Wziąłem go do rąk i w świetle zapałki odczytałem te słowa, skreślone ołówkiem, ręką niewprawną:

— „Dr. Watson pojechał do Coombe-Tracey“.

Przez chwilę stałem z kartką w ręku, nie rozumiejąc, co znaczy to uwiadomienie. A więc śledzono nie sir Henryka, lecz mnie... Tajemniczy nieznajomy, nie mogąc sam mnie tropić, polecił to owemu chłopcu. Ten donosił mu zapewne o każdym moim kroku.

Szukałem innych kartek, ale napróżno; nie mogłem też znaleźć niczego, coby mnie objaśniło o zamiarach człowieka, który obrał tak dziwne miejsce pobytu. Bądź co bądź, odznaczał się spartańskiemi obyczajami... Wśród dni słotnych kapało mu pewno na głowę, kostniał z zimna wśród chłodnych nocy, a jednak nie opuszczał swej kryjówki. Ważny cel przykuwał go zapewne do tej nory... Poprzysiągłem sobie, że stąd nie wyjdę, dopóki nie dowiem się, czy ten człowiek jest naszym przyjacielem, czy wrogiem.

Słońce już spuszczało się nisko, w blasku złota i purpury; po jednej stronie sterczały wieże Baskerville-Hall, po drugiej były bagna Grimpen-Mire, a w bok na prawo, wznosił się dom Stapletonów. W naturze był rozlany spokój, tylko moja dusza była wzburzona. Usiadłem u wejścia do jaskini i czekałem na przybycie jej lokatora.

Nareszcie doszedł mnie odgłos jego kroków. Wsunąłem się w najciemniejszy kącik i wyjąłem rewolwer z kieszeni. Kroki umilkły, nagle cień zasłonił otwór.

— Mamy piękny wieczór, kochany Watson — rzekł głos, dobrze mi znany. — Sądzę, że ci będzie lepiej na powietrzu, niż tutaj...

XII.

Śmierć na bagnie.

Przez chwilę siedziałem z zapartym oddechem, oczom własnym nie wierząc, wreszcie odzyskałem głos, powróciła mi przytomność, a jednocześnie spadł z serca kamień odpowiedzialności. Taki głos ironiczny, chłodny, miał tylko jeden człowiek na świecie.

— Sherlock! — zawołałem.

— Wychodź, a proszę cię, bądź ostrożny z rewolwerem.

Stanąłem w kamiennym otworze i ujrzałem Holmesa o parę kroków przed sobą. Siedział na kamieniu i patrzał we mnie wesoło. Był blady, wychudzony, miał twarz ogorzałą, ale bieliznę tak czystą, a brodę tak starannie wygoloną, jak gdyby znajdował się w swojem mieszkaniu przy Baker-Street.

— Jakże się cieszę, że to ty! zawołałem, ściskając mu rękę.

— A czy się nie dziwisz? — zagadnął.

— Przyznaję, że tak.

— I ja jestem zdziwiony — odrzekł. — Nie spodziewałem się, że odnajdziesz moją kryjówkę, a tem mniej, że cię tu zastanę. Spostrzegłem twą obecność dopiero, gdym był o dwadzieścia kroków od tej jaskini.

— Poznałeś mnie po odbiciu stóp?

— Nie, Watson, nie umiałbym rozróżnić twoich śladów z pośród innych. Lecz gdy chcesz mnie wywieść w pole, radzę ci używać innych papierosów, bo ilekroć ujrzę munsztuk z marką fabryczną Broadley, Oxford-Street, zawsze się domyślę, iż mój przyjaciel Watson jest w pobliżu. Patrz, rzuciłeś niedopalony papieros, zapewne w chwili, gdyś zdecydował się wejść do tej jaskini.

— Istotnie.

— Tak przypuszczałem, a znając twoją odwagę, byłem pewien, że zaczaiłeś się z rewolwerem w garści, czekając na powrót „lokatora“ tej siedziby. A więc sądziłeś, że to ja jestem zbrodniarzem?

— Nie wiedziałem, kim jesteś, ale poprzysiągłem sobie wykryć tajemnicę.

— Kiedy się dowiedziałeś o przebywaniu drugiego człowieka na bagnie? Dostrzegłeś mnie może owej nocy, gdy byłem tak nieostrożny i stanąłem na tle tarczy księżycowej?

— Tak, wtedy cię ujrzałem.

— I niewątpliwie zaglądałeś pod wszystkie kamienie, zanim natrafiłeś na moją kryjówkę?

— Nie; dostrzeżono twojego chłopaka i to mi posłużyło za drogowskaz.

— Dojrzał go zapewne stary gentleman przez teleskop. Gdym zobaczył po raz pierwszy blask od soczewki, nie mogłem zmiarkować, co to takiego.

Wstał i wszedł do jaskini.

— Ha! widzę, że Cartwright przyniósł mi prowianty... Jest i zabazgrany papier. A więc jeździłeś do Coombe-Tracey?

— Tak.

— Żeby się rozmówić z panią Laurą Lyons?

— Nieinaczej.

— Dobrze. Bardzo dobrze! Nasze wywiady szły równoległemi drogami, a gdy połączymy badania, musimy dotrzeć do dna prawdy.

— Cieszę się ogromnie, że tu jesteś, bo już nerwy zaczynały mi odmawiać posłuszeństwa. Ale jakim sposobem znalazłeś się na bagnie i co tu porabiasz? Sądziłem, że siedzisz spokojnie przy Baker-Street i zajmujesz się sprawą o wyzysk.

— Chciałem, żebyś tak sądził.

— Więc używasz mnie do roboty, a jednak mi nie ufasz... — zawołałem z goryczą. — Zdaje mi się, że zasłużyłem na zaufanie.

— Mój drogi, jesteś poprostu nieoszacowany; w wielu razach oddałeś mi znakomite usługi, jestem ci wdzięczny i mam nadzieję, że mi przebaczysz ten fortel. Dopuściłem go się poczęści ze względu na ciebie: znając niebezpieczeństwo, na jakie się narażasz, chciałem je zbadać sam na miejscu. Gdybym przebywał z tobą i z sir Henrykiem, dzieliłbym zapewne wasze poglądy na tę sprawę, a moja obecność zmusiłaby naszego przeciwnika do zdwojonej baczności. W obecnym stanie rzeczy dokonałem tego, czegobym nie mógł zrobić, mieszkając w Baskerville-Hall, a w dodatku pozostaję w ukryciu. W chwili potrzeby, wystąpię z całą potęgą i siłą.

— Ale czemuż ukrywałeś się przedemną?

— Bo w razie przeciwnym nie wstrzymałbyś się od komunikowania się ze mną; zechciałbyś mnie zaopatrywać w lepsze jadło, cieplejszą odzież i wprowadziłbyś tamtych na mój ślad. Przywiozłem ze sobą Cartwrighta — pamiętasz tego malca z hotelu — on myślał o mnie: przynosił mi chleb i czystą bieliznę. Czegóż mi więcej potrzeba? Dał mi przytem parę bystrych oczu i parę zwinnych nóg, co jest pożądane.

— A więc moje listy były niepotrzebne?

Holmes wyjął paczkę listów.

— Oto twoje sprawozdania — rzekł. — Dostawałem je z 24-godzinnem opóźnieniem i oddały mi znaczne usługi. Muszę cię pochwalić za gorliwość i spryt, których dowiodłeś w tej niezwykłej sprawie.

Serdeczne słowa Holmesa rozproszyły mój żal do niego, tembardziej, iż czułem, że lepiej się stało, żem nie wiedział o jego przebywaniu na bagnie.

— A teraz opowiedz mi twoją wizytę u mrs. Lyons — rzekł. — Nietrudno mi było domyśleć się, że jeździłeś do niej, gdyż wiem, że ona jedna w Coombe-Tracey może nam dostarczyć potrzebnych informacyj. Co prawda, gdybyś nie był rozmówił się z nią dzisiaj, ja byłbym do niej poszedł jutro.

Słońce już zaszło, powietrze ochłodziło się. Weszliśmy do jaskini. Usiadłszy na kamieniu obok Holmesa, opowiedziałem mu moją rozmowę z panią Lyons.

— To bardzo ważny szczegół — oświadczył. — Wypełnia lukę, której nie zdołałem pokryć. Wiesz zapewne, że pomiędzy tą damą a Stapletonem zachodzą bardzo blizkie stosunki?...

— Nie wiedziałem.

— To rzecz pewna. Widują się, pisują do siebie, są w porozumieniu serdecznem... Ta wiadomość jest niebezpiecznem orężem w naszem reku. Gdyby tylko udało się zniechęcić do Stapletona jego żonę!...

— Żonę?

— Teraz ja udzielę ci garstkę informacyj wzamian za te, których ty mi dostarczyłeś. Dama, uchodząca tutaj za miss Stapleton, jest w istocie jego żoną...

— To niemożliwe! Czyżby on pozwalał sir Henrykowi starać się o własną żonę...

— Co mu to szkodzi, że sir Henryk zakochał się? On ze swojej strony, jak to sam spostrzegłeś, dokładał wszelkich starań, aby sir Henryk nie objawiał i nie wynurzał swych uczuć... Powtarzam ci: ta piękna dama jest nie siostrą, lecz żoną Stapletona.

— Więc czemuż ta komedja?

— Stapleton przewidywał, że ona może mu oddać usługi w charakterze osoby wolnej.

Wszystkie moje posądzenia ożyły. Ten człowiek chłodny, nieprzenikniony, do którego od pierwszej chwili wstręt uczułem, wydawał mi się teraz potworem o słodkim uśmiechu.

— On, nie kto inny, jest naszym wrogiem; on nas śledził w Londynie!... — oświadczył Holmes.

— A ostrzeżenie wyszło zapewne od niej.

— Niewątpliwie — potwierdził mój przyjaciel.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Z drukarni J. Czaińskiego w Gró